



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Tajemnica dźwięków muzycznych.

Tajemnica dźwięków muzycznych.

POGADANKA NAUKOWA.

Niejedna panienka, grająca biegle na fortepianie, byłaby w kłopotcie, gdyby jęj zapytano, dlaczego to każdy klawisz odmienny dźwięk wydaje, zawsze jednakowy, jeśli fortepian dobrze jest nastrojony, czém to się dzieje, że dwa tony, stanowiące oktawę, tak zgodnie brzmią z sobą zawsze, czy wyżej, czy niżej na klawiaturze je weźmiemy? A jednak to rzecz ciekawa i warto się nad tém zastanowić.

Fortepian, harfa, skrzypce, mają struny, w tych strunach więc ukryta jest tajemnica dźwięków muzycznych; ale są także instrumenta dęte, które żadnych strun nie mają, a oto znów rysunek nasz przedstawia przyrząd muzyczny osobliwszego rodzaju. Są to najprostsze w świecie kieliszki szklane, w które ponalewano po trochu wody, w jedną najmniejszą, w inne stopniowo coraz więcej. Szkło

uderzone kijkiem wydaje dźwięk, któż o tém nie wie, lecz dźwięk ten staje się odmienny, stosownie do ilości wody, nalanéj do szklanki, otrzymuje się więc tym sposobem prawdziwe tony muzyczne. Osoba, mająca dobre ucho muzyczne, a przytém cierpliwa, może sobie dobrać z takich kieliszków całą oktawę i wygrywać na tym przyrządzie różne melodye.

Zkądże pochodzi ta różnica w dźwiękach? Ażeby to zrozumieć, trzeba najpierw wiedzieć, co to jest dźwięk w ogóle, wszystko, co słyszymy, czy to ton muzyczny, czy głos ludzki, czy łoskot, szmer, hałas, jedném słowem trzeba wiedzieć, jaka przyczyna działa na zmysł słuchu. Wszak każdy zapewne zauważył, że silny huk sprawia bardzo wyraźne wstrząśnienie. Gdy ciężkie wozy zaturkocą pod oknami, szyby trząść się zaczynają, a mogą i popękać, gdy w pobliżu zagrzmią armaty. Otóż i z tych kieliszków chcąc dźwięk wywołać, musimy je kijkiem uderzać, w fortepianie młotki uderzają o struny, w dzwonek tak zwane serca biją o ściany wewnętrzne.

Kto tylko choćby początków fizyki się uczył, wie o tém, że wszystkie ciała, nawet najtwardsze, składają się z cząsteczek nadzwyczaj drobnych, niedojrzanych, które nie przylegają do siebie, to jest mają pomiędzy sobą odstępy próżne. Gdy kijek o kieliszek uderzy, te drobne cząsteczki szkła zaczynają drgać, poruszać się z nadzwyczajną szybkością, ale w taki sposób, że każda, posunąwszy się naprzód, natychmiast na swoje miejsce powraca, i tak raz po raz. Chociaż więc kieliszek cały jest w ruchu, nie przesuwa się na inne miejsce. Drganie to ze szkła przechodzi do powietrza, które także złożone jest z cząsteczek gazowych, te więc zaczynają drgać jedne po drugich, bo każda cząsteczka drgająca popycha sąsiednią i w ruch ją podobny wprawia, ta znów dalszą i tak coraz dalej. Ponieważ cząsteczki popychają się na wszystkie strony, więc w powietrzu powstaje jakby kula drgająca, a ta rośnie, rozszerza się, olbrzymieje.

Czy widzieliście kiedy, jak kamień w wodę wrzucony tworzy fale, rozchodzące się w kręgi coraz szersze? Liść, unoszący się w tém miejscu na powierzchni wody, nie popłynie z falą, drga tylko z nią razem, to jest drga z cząsteczkami wody, które popychają jedna drugą, a każda potem na dawne miejsce wraca. Otóż ten ruch falisty wody najlepsze wam da wyobrażenie o rozchodzeniu się dźwięków w powietrzu, ta jest tylko różnica, że fale wodne rozchodzą się na jednéj płaszczyźnie, a fale powietrzne, roznoszące głos, przybierają postać kulistą, jak to wspomnieliśmy wyżej; różnią się także fale głosowe nadzwyczajną swoją chyżością.

Człowiek ma w krtani przyrząd, który głos wydaje, to jest wprawia powietrze w stosowny ruch drgający, w uchu zaś posiada drugi przyrząd, przeznaczony do odbierania wrażenia głosu. W uchu jest bębenek z elastycznej błony, są różne kosteczki ruchome, komóreczki, gdzie wchodzi powietrze, trudno byłoby jednak opowiedzieć dokładnie i szczegółowo, jak to się wszystko tam odbywa; zresztą zabrałoby to nam tyle czasu, że jużby go zabrakło na wyjaśnienie tajemnicy tonów muzycznych, co przecież głównym jest przedmiotem niniejszej pogadanki. Powiemy więc tylko w krótkości, że gdy znajdujemy się w obrębie owéj kuli powietrznej, wprawionej w drganie, ruch jéj udziela się i błonie bębenkowej w uchu, błona ta zaczyna drgać tak samo, i wywołuje wrażenie głosu w końcach nerwów, które idą aż do mózgu i tam to wrażenie zanoszą. Tym to sposobem słyszymy, a głuchoniemi dlatego

są, nieczuli na wszelkie dźwięki, że u nich ten misterny przyrząd uszny jest nadwergężony, zniszczony, nie może więc działać. Darmo fale głosowe przepływają dokoła tych biedaków, nie mogą one wyrzucić na nich żadnego wrażenia, gdyż nie dochodzą do nerwów, a przez nie do mózgu.

Teraz nakoniec możemy już przejść do pytania, dlaczego dźwięki bywają tak rozmaite, sprawiają niekiedy przykry huk i łoskot, a czasem znów wytwarzają melodyjne tony muzyczne? Wszelkie huki, łoskoty, szmery, są to drgania nieporządne, bezładne, zmieszane zwykle z ruchów rozmaitej szybkości. Tony muzyczne powstają z drgań nadzwyczaj regularnych, a wysokość tonu zależy od chyżości tych drgań, powolniejsze dają tony niższe, szybsze, tony wyższe. Zbyt powolne lub zbyt szybkie drgania nie wywierają na nas wrażenia, nie mogą być słyszane, skala słuchu ludzkiego ma pewne granice, niezbyt jednak dokładnie obliczone, bo jedni lepiej słyszą, inni gorzej; dźwięki głosowe, dostępne dla uszu naszych, zaczynają się od kilkudziesięciu drgań na sekundę, są to najniższe, grube, basowe, kończą się na kilkudziesięciu tysiącach drgań na sekundę, a te są już najwyższe, najcieńszy głosik wydają.

A teraz już łatwo zrozumieć, że na téj zasadzie rozmaitej chyżości drgań polega wydobywanie tonów we wszystkich narzędziach muzycznych, a nawet i w najcudowniejszym, to jest w głosie ludzkim. Co do kieliszków, łatwo się domysleć, że drgają chyżej lub wolniej stosownie do ilości zawartéj w nich wody, gdyż ta zmienia objętość przestrzeni próżnéj w szklance, a chyżość ruchu cząsteczek od tego zależy. W instrumentach dętych obmyślone są różne dowcipne sposoby wprawiania powietrza, zamkniętego w ciasnych rurkach, w drgania powolniejsze i szybsze, w fortepianie, w skrzypcach, uderzanie lub pocieranie strun wywołuje w nich drgania podobne. W fortepianie naprzykład każdy klawisz ma struny osobne, stosownéj długości i naciągnięte stosownie, a gdy fortepian jest należycie nastrojony, każda z tych strun musi odbywać pewną ilość drgań na sekundę, ani mniej, ani więcej, ażeby wydała ton właściwy. Gdy struny, których jest dwie lub trzy na jeden klawisz, aby dźwięk był mocniejszy, nie zgadzają się z sobą, gdy jedna drga wolniej nieco, druga prędzej, zaraz się ztąd wywiązuje ton fałszywy. Widełki strojowe czyli kamerton, jest to przyrząd tak sztucznie zrobiony, że uderzony o przedmiot twardy zaczyna drgać nadzwyczaj regularnie, zawsze tę samą ilość ruchów odbywając w przeciągu sekundy. Ilość ta jest obliczona zwykle na ton *a* w średniej oktawie, gdy więc stroiciel dobierze sobie ten ton jaknajczystszy, z łatwością potem podług niego dostroi i resztę. Ów ton *a* widełek strojowych powstaje z 440 drgań całkowitych na sekundę, to jest ruchów tam i napowrót. Gdy fortepian się rozstroi, to znaczy, że struny się porozluźniały, jedne mniej, drugie więcej, ztąd powstał nieporządek, drgania nie odbywają się prawidłowo, aby wypadło tyle a tyle na sekundę. Wówczas potrzeba je ponaciągać, kierując się uchem, a do pomocy biorąc widełki strojowe.

Teraz przedstawia się drugie pytanie: dla czego dwa klawisze, o całą oktawę od siebie oddalone, dwa *c* lub dwa *a*, dają tony tak podobne do siebie, tak zgodne, że każda melodya może być przeniesiona o oktawę wyżej lub niżej, pozostając niezmienioną? Przyczyna jest bardzo prosta: ściśle obliczenia wykazują, że ton o całą oktawę wyższy drga dwa razy chyżej, o oktawę niższy, dwa razy wolniej. Jeżeli więc

owo *a* widełek strojowych ma 440 drgań na sekundę, to wyższe *a* musi ich mieć koniecznie 880, niższe zaś *a* 220. Tym sposobem przypada zawsze w oktawie wyższej każdego tonu po dwa drgania na jedno, ztąd zgodność zupełna, ruchy uzupełniają się, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Ton, który w terminologii muzycznej nazywa się kwintą, ma drgania tylko półtora razy szybsze. Czytelniczki i czytelnicy, znający już część arytmetyki, traktującą o stosunkach, zrozumieją z łatwością następujące liczby: każdy ton z oktawą swoją przedstawia stosunek 1: 2, z kwintą 1: 3, z kwartą 3: 4, z tercją większą 4: 5, z tercją mniejszą 5: 6, z sekstą większą 3: 5, z sekstą mniejszą 5: 8.

Dużo jest z pewnością na świecie panienek, lubiących bardzo muzykę, a nie lubiących znów wszystkiego, co się nazywa matematyką, wszelkiego rodzaju rachunków, obliczeń, zadań liczbowych; panienki te nie spodziewają się nawet, wygrywając różne piękne sonety i fantazyje, że te cudne tony muzyczne tak ściśle są z nienawistną im matematyką związane. Te kombinacje harmonijne, te akorda, umiejętnie dobrane, śpiewne melodyje, odzywające się wśród akompaniamentu, wszystko to polega jedynie na najdokładniejszych matematycznych obliczeniach. Niech tylko dana ilość drgań się zmieni, a zaraz pomiędzy tonami wytworzy się odmienny całkiem stosunek, harmonia zamieni się w dysonans, w kakofonię.

Może też ktoś bardzo ciekawy i lubiący zbadać wszystko do gruntu, zapyta jeszcze, jakim sposobem mogli ludzie przekonać się o tém? Bo jakże to zliczyć te drgania, następujące po sobie tak chyżo, że ich kilka a nawet kilkadziesiąt tysięcy wypada na sekundę? To pewna, że gdyby kto chciał to obrachować zwyczajnym sposobem, to jest licząc głośno: jeden, dwa, trzy, cztery i t. d., toby nie podołał zadaniu. Zresztą, jakże tu liczyć drgania, których i wzrokiem pochwycić niepodobna dla nadzwyczajnej chyżości? Ludzie jednak znaleźli na to sposób. Nie możemy wam opisać dokładnie dowcipnych przyrządów, służących do obliczania drgań głosowych, ale żebyście o tém mieli choć przybliżone pojęcie, wyobraźcie sobie naprzykład kółko, najeżone ząbkami i obracane za pomocą korbki. Dajmy na to, iż ząbki uderzają o jakiś przedmiot i w drganie go wprawiają. Ile uderzeń, tyle drgań. Nic łatwiejszego, jak urządzić mechanizm, zaznaczający z największą ścisłością liczbę obrotów kółka. Wiedząc zaś, ile kółko ma ząbków, oblicza się odrazu, ile razy w ciągu sekundy było uderzeń, a tém samém i drgań. Za pomocą podobnych przyrządów, można wszelkie tony muzyczne otrzymać; gdy kółko wolniej się obraca, wyda tony niższe, w miarę zaś, jak ruch jego się przyśpiesza, powstają tony coraz wyższe. I oto jakim sposobem wyśledzić można tajemnicę tonów muzycznych.

M. J. Z.

DWA ANIOŁY.

Już wieją pierwsze jesienne chłody,
Powracające ciągną zórawie;
Nim pierwszym lodem ranek zaskli wody,
Krążący rybitw muska się w stawie,
I dla bagnistej czajki w ustroni,
Brzmiącemi skrzydły pożegnanie dzwoni.

Przez nieprzejrzane, zblakłe pastwiska,
Na pajęczyny wątłym kobiercu

Słońce ostatkiem swych skarbów połyska;
Przy konającej lilii sercu
Wędrujący motyl skrzydełko schyla,
Zastygł, a rosa — łezka dla motyla.

Wychyl się słońce, wychyl w błękity!
Zadzwon, o wietrze! przez jar ustronny,
W pozołkłej trzciny upierzone kity;
Zadzwon, śpiewaku mój jednotonny!
Niech temu światłu, niech tej piosence,
Zabytek lata, wspomnienie poświęcę.

Gdy kir chmur śnieżnych zawiśnie nad ziemią,
I wichrowate tchnienie zamieci
Kwiatami mrozu okna mi zacienią,
Czemże się wtedy świat mój rozświeci?
Kto mię wśród nudów i wycia burzy
Błogiem snami lepszych dni odurzy?

— Ja, rzecze praca, ja cię obłokiem
Swojego świata przed zimą skryję!
A wyobraźnia: — A ja cię urokiem
Swojego tańca zimie odbiję!
I jak bliźnięta objęte w poły,
Złeciały w moję duszę dwa anioły.

Witajcie, gońce dobrego nieba!
Niewyczerpane są wasze dary,
Tylko was godnie ugościć potrzeba.
Za pożegnaniem anielskiej pary,
Napojem życia duszy naczynie,
Napojem chwały przez wieki popłynię.

Pod skromnej chatki poddaszem nizkiem,
Gdzie założycie gospodę waszą,
Przed wieśniaczego kominka ogniskiem,
Myślą się wieków skronie opaszą,
I milionem za miliony
Stanie samotnik, przez was poświęcony.

Seweryn Goszczyński.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

Ale pieszczota dobrej siostry nie rozweśliła dziewczęcia i po chwili milczenia Tola rzekła znowu:

— Trzeba więc cierpieć, pensy nie porzucę, masz rację, Jadwiniu, była to myśl szalona. Zapomnij, dobra siostrzyczko, o tém, co ci mówiłam, żal mi, że przyczyniłam zmartwienia mojej ukochanej.

— Niech Bóg broni, Tolo, abyś miała kiedykolwiek tać przedemną swe przykrości — zawołała Jadwiga — któż, jeżeli nie siostra, podzielić je z tobą powinna, ukoić, pocieszyć i zdwoić swą miłość, jeżeli przywiązanie moje dla ciebie większém być może. Zostawmy na teraz rzeczy jak są i chodźmy spać, najdroższa, bo jutro moja dziewczynka będzie niewyspaną i znużoną, a to przeszkoda w pracy.

— Nie mów tylko nic mamie, Jadwiniu — rzekła Tola, podnosząc się z miejsca — niech ona nie wie, jakie przykrości przechodzi ję biedna córka, nadto bolałoby ją serce. Al! Bóg dobry dał ję ciebie, Jadwiniu moja, taką śliczną, zgrabną, a dobrą, ach, dobrą, jak anioł. Patrząc na ciebie, siostrzyczko, zapominam o méj brzydocie i garbie, tylko się ci szę twoją urodą, dumną jestem, żeś ty taka piękna.

— Och! ty najlepsza, najpocziwsza siostrzyczko, gdyby te niedobre dziewczyny wiedziały, jakie złote serce ranią, zawstydzilyby się same przed sobą. Dobranoc, najmilsza, niech anioł stróż czuwa nad tobą.

* * *

Pan Kazimierz przychodził do zdrowia; jakiemi staraniami, jaką opieką był otoczony, tego nawet opowiadać nie potrzeba. Najtroskliwszą jednak, najtkliwszą przy chorym wujaszku była Terenia. Dziewczynka zmizerniała bardzo, co przy jej wątłym złożeniu było tak widocznem, że zwróciło uwagę doktora, który jeszcze odwiedzał chorego. Doktor Z. jechał zawsze z przyjemnością do Żabina, polubił tak bardzo rodzinę wdowy, tak się zaprzyjaźnił z dziećmi, że obiecał im przywieźć kiedy swoje córeczkę, aby się poznała z panienkami. Czekano tylko zupełnego wyzdrowienia p. Kazimierza, a że ten zaczął już wstawać, Terenia przypominała doktorowi daną obietnicę.

Dziewczynka ze szczególną niecierpliwością wyglądała poznania tej jedynej córki kochanego już przez nią doktora, bo i jakże go kochać nie miała, skoro uratował jej drogiego wujaszka? Terenia tak wdzięczne miała serce. Kochała już zawczasu i Lenkę, wyobrażała sobie, że musi to być jakieś czarujące dziecko; ojciec mówił zawsze o niej z uniesieniem, a przecież złego dziecka kochaćby tak chyba nie mógł. Nie przeczuwała, albo też może przeczuwała, że przyjazd Lenki będzie miał wpływ na jej życie. A życie to dotąd upływało cicho i spokojnie, przy nauce i pracy dziewczynki nie miały nawet czasu pomyśleć o tém, że nie znały ani jednej obcej panienki rówieśniczki.

Pani Krystyna po śmierci męża nie bywała nigdzie, a nawet i za życia jego, od czasu, gdy się sprowadziła do Żabina, zerwali wszelkie stosunki. Praca i wychowanie dzieci pochłaniały czas cały tak dalece, że gdy wypadła konieczna potrzeba jechania do miasta, to trudno było znaleźć wolną chwilę i podróż ta wydawała się być prawdziwą podróżą za morze. I tak już zostało, dziewczynki rosły i nie znały nikogo. Miały wprawdzie obietnicę wujaszka, że je kiedyś zawiezie do Warszawy, że zabawią tam dni kilka, aby zwiedzić wszystko, co tylko godnem jest widzenia, ale to jakoś odkładało się od tygodnia do tygodnia, zawsze coś stawało na przeszkodzie, i wycieczka upragniona nie przychodziła do skutku. Szczególniej Terenia była ciekawą poznania tej Warszawy, o której tyle od wujaszka słyszała, którą znała prawie na pamięć, nie widząc, i często bardzo mówiła o tej podróży z Hanką, która jak zwykle więcej miała od siostry i cierpliwości, i praktyczności.

Wrzesień zbliżał się ku końcowi, dzień był prześliczny, w małym dworcu wdowy wszyscy zajęci byli zbieraniem owoców ze swego ulubionego ogródka, wujaszek, choć jeszcze niezbyt silny po chorobie, pomagał wesoło krzątającej się dziewczynie, gdy Figielek zaczął szczeleć i pobiegł niespokojnie ku bramie.

Figielek bardzo jest niemądry — rzekła Ewcia — zawsze szczele, jak kto przejeżdża, choć sobie tylko traktem kto jedzie. Oj niemądry, niemądry.

Figielek mądry! — krzyknął Kazio, stając w obronie faworyta — to twój kot niemądry.

Mój kot nie szczele — rzekła dziewczynka — mój kot nigdy nie idzie nawet do bramy, choćby i sam król jechał.

Bo twój kot nie umie szczeleć — wołał zaperzony malec — twój kot nawet nie poznałby wcale, choćby król jechał, a Figielek zaraz pozna.

Figielek szczeleć zajadłe przy bramie, a Kazio, który zwracał ciągle na niego uwagę, zawołał:

Mamusiu, jakiś powóz stanął przed bramą, i taki duży, taki ogromny czarny pies zagląda przez sztachety, ach! on pewnie rozszarpie Figielka — dodał, krzywiąc się do płaczu i tupiąc nóżkami.

Twój Figielek taki mądry — rzekła Ewcia — to się nie da rozszarpać, skoczy na drzewo i duży pies nie mu nie zrobi.

Figielek nie potrafi skoczyć na drzewo — rzekł chłopczyk gniewnie — Figielek nie kot przecie.

Mój kot niby niemądry — rzekła dziewczynka z odzieniem dumy — a nie bałby się wcale takiego dużego psa nawet; mój kot wiedziałby, gdzie się schronić.

W czasie rozmowy malców, p. Kazimierz spojrział ku bramie, którą właśnie otwierał chłopak stajenny, otworzywszy też szeroko oczy i usta, od czasu bowiem, jak państwo jego sprowadzili się do Żabina, nie widział jeszcze ani razu tak wspaniałego powozu. Gdy w ogrodzie spostrzeżono nareszcie, że to istotnie do dworku jechali goście, domyślono się od razu, iż to oczekiwany doktor Z. z córką dotrzymuje danę obietnicę. Porzucono więc natychmiast robotę w ogrodzie, zostawiwszy wszystko pod opieką stariej sługi Walentowej, i pośpieszono na powitanie oczekiwanych gości.

Pan Kazimierz otworzył drzwiczki, a z powozu lekka, jak ptaszek, wyskoczyła Lenka, za nią wyszła ładna, wysmukła panna, którą doktor przedstawił pani domu, mówiąc:

Panna Jadwiga Wrześniewska, moja Lenka uprosiła ją, aby nam towarzyszyła w tej miłej dla nas wycieczce, chociaż jako nieznana państwu, trochę się nam wzdragała.

Serdecznie panu doktorowi wdzięczni jesteśmy za przywieszenie nam tak miłego gościa — rzekła pani Krystyna — a pani dziękujemy, żeś nam dała sposobność zaznajomienia, z czego, jak widzę po twarzach mych dziewcząt, są bardzo uradowane.

Wzajemne powitania i przedstawienia krótko trwały, i w pół godziny później dziewczęta były z sobą jak dobrze znajome.

Pójdźmy do ogrodu — rzekła panna Jadwiga, podnosząc się i wyciągając rękę do Hanki — my mieszkanki miasta tak bardzo jesteśmy spragnione świeżego, wiejskiego powietrza, i widoku pól i lasów.

Czy pani wierzy — rzekła Hanka — że my z Terenią nie byłyśmy jeszcze w Warszawie ani razu, choć bardzo jesteśmy ciekawe ją poznać.

Niepodobna! — zawołała żywo Lenka — przecież to nie tak daleko, tatuś mówi, że dwie mile tylko.

Wujaszek przyrzekł, że przed zimą zawiezie nas już niezawodnie — rzekła Terenia, idąc obok Lenki — i jak tylko wujcio zupełnie wyzdrowieje, dotrzyma słowa z pewnością.

Do zimy jeszcze bardzo daleko, musicie być u nas o wiele wcześniej — mówiła Lenka, rozglądając się z przyjemnością po wiejskim prostym ogródku. — Wiesz co, Tereniu — dodała, zmieniając przedmiot rozmowy — zbieramy owoce, jeszcze tego jak żyję nie robiłam.

Zbieranie owoców jest zajęciem bardzo miłym dla młodzieży, zabrano się do tej pracy wesoło, nie wyłączając panny Jadwigi. Panienki były z sobą tak serdeczne, jakby się znały oddawna, przyłączyły się do nich i młodsze dzieci, ośmieszone grzecznością przybyłych, nawet Kruk z Figielkiem, ku wielkiej uciechu Kazia, wyprawiali uciechne skoki i gonitwy, a chłopczyk uszczęśliwiony, że wielki pies czarny nie rozszarpał Figielka, klaskał w rączki radośnie, i powtarzał, że bardzo pokochał tego mądrego Kruka. Po podwieczorku, który zastawiono w ogrodzie, panienki wybrały się do pobliskiego lasu, Lenka tylko wymagała upewnienia pana Kazimierza, że wilków i rozbójników nie spotkają. Zabrano dzieci, a do obrony Kruka i Figielka, i wyruszone śmiejąc się i gwarząc wesoło. Lenka z Terenią szły pierwsze, panna Jadwiga z Hanką, ostatnie.

Czy pani ma rodzeństwo? — zapytała Hania.

Mam brata starszego, który jest inżynierem, i młodszą siostrzyczkę, dobrą, kochaną Tołę moję — mówiąc to, panna Jadwiga westchnęła cicho, co nie uszło uwagi Hanki.

Siostra pani na pensyi jeszcze?

Tak, w piątą klasę, uczy się bardzo dobrze, jest zdolną i pracowitą — rzekła panna Jadwiga, goniąc wzrokiem idące przed nią dziewczynki.

Szkoda, że pani siostry swęj nie zabrała także, byłaby odpoczęła trochę po tak nużącej pracy, i użyła przyjemności wiejskich — rzekła Hania — doprawdy, wielka szkoda.

— Och, Tola nie chciałabyjechać — odpowiedziała smutnie panna Jadwiga.

— Nie chciałaby? — powtórzyła Hania.

— Tola nie lubi nowych znajomości — rzekła Jadwiga — niwi to pania, prawda? a jednak tak jest istotnie.

— Panno Jadwigo — zawołała żywo Hanka — mów mi imieniu; „pani” to tak bardzo obojętnie i chłodno, proszę, mów mi „Hanko” tak, jak moi najbliżsi.

(d. c. n.)

niego. — Tańcowaliśmy po ich muzyce, niechaj oni teraz przy naszej poskaczą!

— Ho ho, nie damy się zjeść w kaszy! pokażemy, co szlachta znaczy! — odgrażał się trzeci.

— Ho ho! — ozwano się chórem w dalszych szeregach, jakby potakując rozmowie jadących na przodzie, czy też w myśl swojej powtarzając wykrzyknik.

— Mamy teraz za sobą plecy i nie potrzebujemy się oglądać, czy jaśnie wielmożny prymas każe nam dawać głosy za



Jeźdźcy tunetańscy (str. 374).

NA ROZSTAJNÉJ DRODZE!

p. Z. Morawską.

Drogą po nad Wisłą, od północy, ciągnął niewielki hufiec jeźdźców. I konie i ludzie nie świecili wojenną, ni pańską powierzchnością. A jednak gwaro i buńczuczno było w tym nielicznym hufcu, niepozornie wyglądającym. Jeźdźcy postępowali w zwartym szeregu po trzech, a czasem po czterech, ożywioną wiodąc rozmowę.

— Ha cóż to oni sobie myślą, że jak nam zagrają, tak my tańcować będziemy! — wołał jadący na przodzie średnich lat, pancerzysty, w szarą kapotę przybrany mężczyzna.

— Dobrze mówicie, panie Jacek — ozwał się jadący obok

Francuzem, Niemcem, lub tam innym jakim przybłądą — mówił butnie pan Jacek.

— Mój krewniak, Andrzej Olszowski, podkanclerzy koronny, dobrze nam poradził, swojaka utrzymamy królem!

— Swojaka! — powtórzyli dwaj bracia Bućkowscy, Antek i Walenty.

— Swojaka! a którego? — ozwał się, równając z jadącymi, młody, gołowąsy, lecz z buńczuczną miną i śmiałym wejściem chłopak.

— A cóż to tobie do tego! — ofuknął go Jacek Olszowski, który się co tylko chwalił pokrewieństwem z podkanclerzem.

— Jakto, nic mi do tego? jadę jako i wy do obozu, a jako szlachcic muszę wiedzieć, za kim głosować będziemy — odciął się chłopiec.

— Strasznieś mi mądry, mój mości Opacki — ozwał się pan Jacek — jeszcze masz mleko pod nosem, a jużbyś chciał przeniknąć, co tam starsi uradzą.

— Czy mam mleko pod nosem, czy wąsy, to aści nic do tego — odburknął Opacki — a skorom się do was przyłączył, chcę wiedzieć, czy tam na wojnę w Gołębiu się zbieramy, czy po inne jakie sprawy.

— Po jakie sprawy się zbieramy, to tam na miejscu obaczym, a zawsze ani hetman ani prymas po głowie nam jeździć nie będzie! — ozwał się pan Walenty Bućkowski.

— Ba, juści, że nie będzie, bo gdyby oni przejechali, toby potem Turek nie miał co zcinać — mruknął chłopak, a nie wdając się w dalszą rozmowę, odsunął się pomiędzy szeregi, gdzie znów gwar coraz głośniejszy powstawał.

— Ha, kto wie — wołano — możeby lepiej ogłosić się za hetmanem Sobieskim, boć i on swojak, a Turków bije!

— Cichobys był! — przytłumił go zaraz głos inny.

— Cóż to, chciałbyś hetmana królem obierać?

— Nowej mu się chce elekcyi! — ze wszech stron zakrzyzczano.

— Sobieski Turków bije — mówił Jacek Olszowski — tego mu nikt nie przeczy, choć razem z prymasem Prażmowskim zmagają się przeciw Michałkowi!

— A gdyby oni dobrze dla nas chcieli? — ozwał się znów nieznacznie młodzieuchny Opacki.

— A ten co znowu śpiewa? — porwał się jakiś szlachcic.

— Co to, zausznik prymasa jesteś? — zawołał Antek Bućkowski.

— Niczym zausznikiem nie jestem — odparł butnie młody chłopak — jeno tak jako i wy mam prawo dawać głosy, kiedy wraz z wami ciągnę na konfederacyą!

I śmiało się nastawił, jakby do walki.

— Dobrze, dobrze — zawołano do koła — choć młody, śmiało się stawia, a takiego warto posłuchać!

— Nie mówię ja, żeby każdy nie dał swego głosu — ozwał się Jacek Olszowski, spoglądając z ukosa — śmiałość w młodzieńcu pochwalam; jeno, mój mości Opacki, powiedz nam, idziesz-li z nami, czy przeciw nam, he?

— Jadę pod Gołąb, bo tam mają coś radzić, a i wy tam jedziecie, ciągnę więc razem, a no gadam, jako mi się zdaje, że ten najlepszy król, który najlepiej rządzi!

— Dobrze mówi! jak mi Bóg miły, dobrze mówi! — zawołał głos jakiś, a inni za nim powtórzyli, nie wiedząc czego się trzymać.

I zrobił się gwar, że trudno było cośkolwiek zrozumieć, a tylko pan Jacek Olszowski na tę i ową stronę wołał:

— Ależ mili bracia szlachta, pozwólcie też i mnie głosu!

Gdy się nareszcie cokolwiek uciszone, zapytał:

— A cóż wam to złego zrobił Michałek?

— Prawda! prawda! nic złego nie uczynił! — przyświadczone dokoła.

— A co dobrego? — ozwał się głos młodego Marka.

— Aj ty, ty! — rzekł z uśmiechem Jacek Olszowski, kryjąc jednak niezadowolenie — jak to znać, żeś młody, a masz krew gorącą; a cóż nam miał zrobić dobrego, toć on niedawno panuje, dopiero dwa lata!

— Prawda! prawda! — przyświadczyła znów szlachta.

— Obaczmyż, co nam Michałek uczyni! — rzekł Walek Bućkowski.

— Potulny to człeczek, nikomu wody nie zamąci, jego nam trzeba utrzymać! — dorzucił inny.

— Tak, tak, jakby się przyszło opowiadać, kogo chcemy, to już za Michałkiem się okrzyknijemy — wołał inny.

— Niechaj, niechaj on panuje dalej! — krzyknął ktoś z boku.

— Niech żyje król Michał! — dorzucił Jacek Olszowski, bo takie miał przykazanie od swego dostojnego krewniaka.

— Potrzebuje nas, to da jakie opatrzenie dla szlachty! — podszeptał znów ktoś z jadących.

— Albo całą szlachtę odda Turkowi! — rzucił nieznacznie Opacki i przytuliwszy uszy, wmieszał się pomiędzy jadących, bo jako z młokosa nie wiele sobie z niego czyniono.

— Co to tam za ptaszek się odzywa, niby puhacz, zawze złą wróżbą? — zapytał ktoś z boku.

— Ech, niema co na takie głosy zważać, przecie Jacek Olszowski nas tutaj wie, a on od swego krewniaka i kanclerzego wie najlepiej, co się około króla dzieje.

— A to ci podobno ten król taki był chudziaczek, mu tron przysądzone, że mu się aż na kolosę i konie złożył — zapytał znów głos jakiś.

— To i cóż, ubóstwo nikomu krzywdy nie przynosi, złożył mu się na kolosę, to i dobrze — rzekł najbutniejszy i najzamożniejszy odziany Marcin Zawalski, szlachcic tegi i saty. — Byłem ci i ja wtedy na elekcyi i mój grosz dorzucił, a niechajbyśmy mu i buty sprawili, toby przynajmniej działał, że jako ma wszystko od kraju i szlachty, tako też szlachcie winien poszanowanie!

— Mądre słowa waszeci, panie Marcinie! — zawołało koło — oj, mądre! — powtarzała szlachta.

— A cośmy utarli nosa tym wszystkim, którzy gwałchcieli Francuza na tron, to nasze! — mówił coraz wiżej zapalając się pan Marcin. — Mamy teraz swojaka, kość z ścią naszej, zawsze co Piast to Piast!

— Ba, żeby to on nas jako Piast nakarmił, gdy był głodno! — wtrącił Opacki.

— A co ten wiecznie z czemś wyjeżdża! Cóż to głójesteś, czy co? toć pod Gołębiem mięsiwa i napitku nie brakuje — rzekł z przekąsem pan Jacek.

— Mój mości Olszowski, szanuję ja wiek wasz i kolocy, ale też i sobie nie dam pluć w miskę — rzekł z godnością ów młokos — na jadłom nie łakomy, boć go i w dom mam dostatek; jeno jak słyhać, to tam Turcy takiego jawnawarzyli, że go i przeknąć nie jednemu trudno, a jakoś widzę, żeby król co na to radził.

Szlachta, chwiejna w swoich sądach, pilnie nasłuchując, poczęła, co mówił ów młodzieniaszek. Bystre oko Olszowskiego spostrzegło to zaraz, huknął więc ostro.

— Tfu, do kaduka! albo się waść opowiadaj za króla albo przeciw niemu, to już i wiedzieć będziemy, czego się trzyma. Ale gdzie tylko co złowisz uchem, to sobie w głos układasz, a starym wierzyć nie chcesz. Juści chodzą wie o Turkach, bo chodzą, a toć nie pierwszyna z Turkiem go ty; ale bo to widzicie — mówił dalej pan Jacek, wpadając w ton oratorski — prymas Prażmowski z Sobieskim hetmanem szerzą gdzie tylko mogą najgorsze wieści, aby nas zniechęcić przeciwko Michałkowi. Prymas Prażmowski zły za despotę, jaki go spotkał, że szlachta nie robiąc sobie wiele z jego coby, tuż mu pod nosem, a bez jego wiedzy, okrzyknęła króla Michałka, mści się teraz i Bóg wie co opowiada. Zmagając się z hetmanem Sobieskim, knują spiski, chcą Michałka zchnać z tronu a wprowadzić jakiegoś Francuza.

(d. n.)

Jeźdźcy w Tunisie.

Któż z nas nie opłakiwał losów wspaniałej Kartaginy, której bohaterska obrona zjednała sympatyę dla zburzonego miasta. Bogactwa jego i zabytki zginęły, pozostała tylko nazwa zatoki, którą podpływa się pod miasto portowe Tunis. Miasto to, bronione przez twierdzę Halk-el-Uadi, czyli górzny dzielnicy, przedstawia się okazale, świecąc z daleka kopułami minaretów. Zamieszkałe przez Beduinów, przedstawia ciszę i powagę miast południowych, gdzie pałace bezprześcian nie słońce obezwładnia człowieka, zmuszając go do powolnych ruchów. Właściwą sobie cechą miasto zatrać przez napływ cudzoziemców Europejczyków, którzy jako więcej ucywilizowani, opanowali handel, usuwając krajowców.

Do najbardziej charakterystycznych postaci Tunisu należą jeźdźcy, w których jednak napróżnobyśmy szukali dzielnej zdy numidyjskiej, dopomagającej Kartagińczykom w walce przeciw Rzymianom, podczas pierwszej wojny punickiej. Obecnie, obejmujące kraj cały, uwydatnia się w tych p

ciach, przybranych nawpół z turecka. Wielkie zawoje kształcie kapeluszy, przyozdobionych częstokroć liśćmi lub em ptaków, stanowią strój głowy. Z pod obszernego tego, ego najczęściej stroju, wyglądają twarze czarne, połyskliwe przenikliwe choć leniwem spojrzeniu. Z pod zawoju, iętego z czoła, widać obszerny kaptur, będący dalszym iem płaszczu, zwanego *beduinem*, a spływającego na barki ęca. Płaszcz ten przykrywa wyszywaną kurtkę, która uzupełnieniem niezgrabnego, szerokiego dolnego ubrania, d którego znów wygląda również szerokie i niezgrabne wie. Szeroki pas przytrzymuje kurtkę, a za nim zatknięty nieodstępny towarzysz każdego Beduina i pistolety staro bardzo systemu, również jak i karabin trzymany w dłoni. so czyli długi sznur, napuszczony tłuszczem, z zadzierzgnię- etlą zarzucony około twarzy, tak, żeby w danym razie ęgo było spuścić i zarzucić na kark nieprzyjaciela, uzupeł- ęzbrojenie. Końców owego *lasso* jeździec tunetański ni- z rąk nie puszcza. Nogi jeźdźca umieszczone w wygo- ch bardzo strzemionach, w których cała noga jakby w ko- spoczywa. Siodło doskonale wysłane i obwieszane róż- zębami, jako też i całe ubranie na koniu, daje owę jeździe- or ciężki i niezgrabny. Spojrzawszy, trudno sobie wyo- ęić, ażeby ten ciężki jeździec mógł się z łatwością rzucić nieprzyjaciela. A jednak w chwili walki jest zwinny, ając tysiące nieznanych przez Europejczyka podstępów, sznym się staje przeciwnikiem. Przedstawieni jeźdźcy są ękami miejskiego porządku; objeżdżają zaułki Tunisu, pil- ęc bezpieczeństwa publicznego od zbrodni, które często dzo się zdarzają.

L.

LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M....a.

(Dokończenie).

A że w opowieści swój gadatliwy karzeł, raz się rozga- vszy, o niczem, nawet o oszustwie Chrypki z dukatami nie omniał, zatem mąż ów, sięgnawszy do trzosa, kazał karło- szatę nadstawić i wrzucił mu w nią parę garści dukatów, wiać jeszcze:

— Za złe chęci względem twoich panów, złe otrzymałeś aty, a oto teraz weź sprawiedliwe, gdyś sam na stronę awiedliwości przeszedł. A jeżeli dzieciom przyjaciela go drogiego, turyngskiego landgraфа, wiernie chcesz służyć e wiesz, gdzie ich szukać, to spocznij, odżyw się, a potem do miasta Bambergu i wejdź do zamku Bettensteinu... a znajdziesz dzieci twego pana. W Bambergu biskupowi bertowi powiedz, że będzie miał wkrótce wieści odemnie.

Gdy następnie wywiedziono karła z owęj komnaty, on za- ał otaczających:

— Idę do Bambergu i mam powiedzieć biskupowi Egber- zi, że będzie miał wkrótce wieści... ale nie będę umiał wiedzieć, od kogo?

— Od Fryderyka II-go, cesarza niemieckiego — powie- eli panowie.

Była to właśnie chwila, w której Krzyżowcy powracali rzyżowęj wyprawy i mieli już, acz niepewne i nieszczęgło- wieści o tém, co zaszło w Europie podczas ich niebytności; a tego przy każdej sposobności zasięgano pewniejszych wie- od naocznych świadków.

XVIII.

Potęga ducha.

Zamek Bettenstein, wspaniała rezydencja królewska, raz z odpowiednim uposażeniem, oddany został na mie- kanie księżnie Elżbiecie przez jej wuja, księcia biskupa amberskiego. Wyraźny rozkaz tegoż biskupa dopiero spro-

wadził do nowego mieszkania księżnę z jej drewnianej budy u stóp Wartburga, przez prosiętą niedawno zajmowaną, przed którą o pierwszych dniach wiosennych zajechał orszak po księżnę, przez wuja posłany, gdy tylko tenże przez Stacha zawiadomiony został o wypadkach zaszłych w Turyngii.

Guta i Izentruda, ulubione towarzyszyki dziecinnych lat księżnej, wykradły się z Wartburga i przybyły tu do niej.

Pewnego gorącego dnia letniego, po ukończeniu dziennych zajęć, modlitw, starań około dzieci i około chorych, Elżbieta Węgierska, zawsze też sama dziwna, jaką była w Wartburgu, wyszła do pięknego ogrodu swego w Bettensteinie i prze- chadzała się samotnie i swobodnie, modląc się cicho pod wrażeniem wspaniałej otaczającej ją przyrody, podnoszącej zazwyczaj ludzkie serce do Boga. Wtém coś poruszającego się w kącie ogrodu zwróciło uwagę księżnej. Poszła tam i ujrzała starą kobietę, okopującą jeszcze grządki, ponieważ słaba i stara nie mogła dokończyć swęj pracy wraz z innemi a zapłaty potrzebowała koniecznie dla swęj biednej rodziny Księżna oddała już ubogim wszystkie pieniądze dnia tego, za tém nie mogąc inaczęj wesprzeć starowiny, wzięła od niej rydel i zaczęła gorliwie kopać za nią ziemię, aby staruszka drżąca ze zmęczenia spoczęła tymczasem, a mimo to zarobiła- swoje zapłatę. Stara kobieta uszczęśliwiona odeszła do swęj chaty, miała nazajutrz wrócić po gotową zapłatę do ogro- dnika.

Landgrafowa Elżbieta pracowała z zapalem, gdy cienie jakieś zjawily się przed nią. Był to biskup Egbert z kilku możnymi panami, wysłanymi w poselstwie od cesarza nie- mieckiego Fryderyka II, z prośbą o rękę Elżbiety Węgier- skiej. Biskup Egbert życzył sobie tego małżeństwa, ale nie mogąc wymóżyć na siostrzenicy, aby poselstwo uroczyście przyjęła, wprowadzał je znuenacka do ogrodu, sądząc, że księżna się przechadza. Takim obrotem biskup chciał też uniknąć urażenia powagi cesarskiej w razie odmowy księżnej, czego się obawiał. I słusznie się obawiał, gdyż księżna na usilne prośby posłów, aby wstąpiła na tron niemiecki, odpo- wiedziała, że obecnie nie na nowego obłubieńca oczekuje, lecz na powrót męża własnego, księcia turyngskiego Ludwika. Jakoż w istocie powracał książę Ludwik, niesiony w koszt- wnej trumnie przez towarzyszyów rycerskiej świętej wyprawy. Krzyż biały ogromny srebrny, drogiemi wysadzany kamienia- mi, błyszczący w dzień i w nocy, szedł niesiony na przedzie orszaku, a liczne wozy z bogatemi darami dla kościołów, w których po drodze odprawiano nabożeństwa, zamykały ten orszak pogrzebowy: rycerze dopełniali przyrzeczenia danego umierającemu ukochanemu księciu, że prochy jego spoczną w ojczystej Turyngii.

W miarę jak orszak ten zbliżał się, popłoch ogarniał przywłaszczycieli landgrafowskiego tronu. Gdy landgrafowa Elżbieta z dziećmi przyłączyła się do tego pogrzebu i stanęła wraz z nim na granicach Turyngii, lud wyległ wszystek, pa- dając na kolana przy powitaniu prochów ukochanego księcia i witając nowego landgraфа w osobie prawego dziedzica, ma- łego Hermana II-go. Dwór przywłaszczyciela znikł, rozpro- szył się, przerażony zapalem ludu i powagą pogrzebowego hufca w stal zakutych Krzyżowców. Słabiej duszy Henryk przywłaszczyciel, opuszczony od poduszczających go zau- szników, wyszedł z bratem i matką naprzeciw zwłok brata i na zwróconą do niego piorunującą mowę przewodniczącego ry- cerza, pana de Varilla, zalany łzami, padł do nóg księżnej Elżbiety i nie powstał, aż mu przebaczyła jego bezprawie, gdyż wiedział dobrze, że inaczęj żaden prawy rycerz na świe- cie nie dotknąłby jego ręki, gdyż to dotknięcie hańbiło. Taka była pod owe wieki potęga wyobrażeń rycerskich, potęga ducha!

XIX.

Tajemnica.

Pomiędzy rycerstwem, wprowadzającém uroczyście do Wartburga landgraфа Hermana II, wsunął się do zamku nie- widziany Phil karzeł. Gdy wszyscy zajęci byli obrzędami, on biegał jak szalony po wszystkich zakątach i kryjówkach, szukając Chrypki, wywiedziawszy się od znajomych sobie

dworzan, że Chryпка sam jeden z party przywłaszczyciela nie uciekł z zamku. Phil drżał cały przy tém poszukiwaniu, nie wiedząc sam, dla czego drży? aż zatrząsł się, zgrozą przejęty, usłyszawszy stłumiony jęk w jednej z tych kryjówek, skarbczyków pospolitych w starożytnych zamkach, o których istnieniu rzadko kto wiedział z ludzi zamkowych. Karzeł dotknął tajemnej sprężyny, drzwi ukryte rozwarły się i na podłodze iedebki wpół ciemnej ukazał się Chryпка dogorywający: miecz, własną ręką słabo wbity w piersi, zbyt powolnie wyganiał z niej mściwego ducha?

— Kto tu? — jęknął umierający — to ty, Szkaradna Potworo! czyliż przez ciebie pozbawiony zemsty mojej, mam jeszcze konać, patrząc na twoją postać nienawistną! precz odemnie! pozwól mi skonać!...

— Ratunku! ratunku! — krzyczał karzeł — landgraf Herman i jego matka przebaczą ci wszystko, żyj tylko!

— Cicho, przeklęty! jeżeli chcesz mi przysługę wyrządzić, to pchnij mi głębiej w piersi ten miecz zabójczy, niechaj nie widzę tryumfu Hermana II-go.

— Starcze nieszczęśny! i cóż tobie małżonek mój uczynił? za co się mściłeś na wnukach moich? — krzyknęła księżna Zofia landgrafowa, wbiegając z kilku dworzanami na krzyki karła. Czy umierającego zaiskrzyły się dzikim gniewem:

— Za co? — jęknął — za moję żonę i mego syna, których on zemście swojej poświęcił, uwięziwszy zapewne w straszliwym jakimś więzieniu, aby od mojej żony tajemnicę mniemaną zdrady wybadać, gdy ja w podróży za jego sprawą niewinnie uwięziony cierpiełem. Oto za co się mściłem i nie potrafiwszy się zemścić, ja was wszystkich umierając przeklę...

— Nie kluj, nieszczęśny, bo klątwa i pomsta na klnącego i na pomstującego spadają! — zawołała z powagą księżna landgrafowa, a wskazując na karła Phila, dodała: — Dowiedz się tajemnicy! Patrz! oto syn twój, w czasie nieobecności twojej urodzony! Matka jego umarła ze smutku, patrząc na tę nieszczęśliwą istotę i wiedząc, jak gorąco pragnąłeś mieć syna; umierając zakłęła mnie i księcia Hermana, abyśmy ukryli raczej przed tobą to dziecko, zamiast ci zgryzotę sprawić jego widokiem. Oto przyczyna, dla której księżę Herman i ja udaliśmy, że syn twój umarł, a ty śledząc i badając, dobałeś się czegoś tajemniczego w tej sprawie, nie wiedząc jednak nic pewnego. Dla czegoż nie porozumieliśmy się szczerze!...

— To, to, mój syn, i ja własnego mego syna traktowałem przez tyle lat gorzej niż zwierzę!... — jęknął umierający. — O, niechajże przekłętą będzie zemsta, która mię zaślepiła!...

Twarz Chryпки wykrzywiła się, jakby miał zapłakać, wyciągnął ręce do Phila, ale w tejże chwili ręce te opadły, dusza uleciała z piersi nieszczęśliwego Chryпки. Karzeł Phil leżał u nóg jego, rzewnie płacząc.

XX.

Zakończenie.

— Gdzie też jest Zosia landgrafówna, że ję tak dawno nie widziałem? Czemuż gdy wszyscy przychodzą pocieszać mię w chorobie, i księżna landgrafowa Elżbieta, i landgraf Herman II-gi i landgrafówny Zofia i Gertruda, czemu jedna Zosia landgrafówna nie przjdzie? przecież ja ani jednego kota nie umęczyłem od tego czasu, gdy ona jedyny raz w życiu nazwała mię Szkaradną Potworą za kota? — Tak mówił z ciężkiej powstając choroby karzeł Phil, do pięknej, dobrej Guty, pielęgnującej go w chorobie na przemiany z księżną Elżbietą i śliczną Izentrudą. A na to Guta odrzekła:

— Zosia landgrafówna, bawiąc z matką jakiś czas w Ktzingen, u babki swjej ciotecznej, księżnej Matyl... przełożonej w tamtejszym klasztorze, tak sobie klasztorne życie upodobała, że pozostała tam na resztę życia. Philowi kazał powiedzieć na pożegnanie, że on nie jest potworą i nie może nią być, ponieważ jest jednym z najpocziwszych ludzi w świecie.

Phil się zamyślił głęboko. Wyzdrowiawszy zupełnie i przypominając sobie, jak troskliwe czuвано nad nim w chorobie i jak mu przez to wiele dobrego czyniono w ciężkich cierpieniach, pytał księżny Elżbiety, czy i on nie mógłby przydać się do czuwania przy chorych, gdyż Zosia landgrafówna nie potrzebuje już jego usług, a od wszystkich innych zresztą zajęć i talentów dziwnie mu jakoś odpadła ochota. Księżna Elżbieta zaprowadziła go sama do jednego z założonych przez siebie szpitali dla mężczyzn i wyuczywszy go obowiązków z chorymi, powierzyła ten szpital jego pieczy. Phil zajęty się gorliwie szpitalnemi obowiązkami, a po niejakiem czasie idąc ulicą, bardzo często słyshał ludzi obcych, szepczących naokoło:

— Patrzcie, patrzcie, oto idzie ten pocziwy, zacny człowiek, Phil!...

Słyszając takie szept, Phil zawsze ze zdumieniem spoglądał sam po sobie, mrużąc z cicha dawnym swoim zwyczajem.

— No proszę, niechże mi kto wytłómaczy, zkad taka małeńka kruszyna, jak ta Zosia landgrafówna, mogła zgadnąć, że jak przestanę źle czynić, a zacznę czynić dobrze, to przestanę być Szkaradną Potworą? no proszę!

ZAGADKA (Z. M.)

Jestem żółte, a w białej koszuli,
Nigdy nie płaczę, choć mnie nikt nie tuli,
Lubią mnie zdrowi i jadają chorzy,
Nikt mnie nie ujrzy, póki nie otworzy.
Mam ciało miękkie, nie chodzę, nie stoję,
Nie płynę także, zimna się nie boję.

Łamigłówka liczbowa (Wiochna).

Z 14 liter imię i przydomek króla polskiego. Przetawiając litery otrzymamy:

- 1, 4, 3, 7, Imię króla węgierskiego.
- 2, 3, 4, 9, Imię męskie zdrobniałe.
- 3, 4, 8, Zwierz drapieżny.
- 5, 6, 12, 8, 7, Cel pożądania wielu ludzi.
- 6, 7, 8, 12, Sprzęt.
- 7, 5, Nazwa karty.
- 8, 7, 6, 14, Część twierdzy.
- 5, 7, 8, 12, Rzeka.
- 10, 7, 5, 6, 2, Wyrób z mleka.
- 7, 3, 4, Spójnik.
- 13, 2, 9, Zwierz leśny.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Szarady:

Od — wa — ga.

Łamigłówki liczbowej:

Odyniec. 1. Ody. 2. On. 3. Od. 4. Nie. 5. Do. 6. Nie. 7. No.

TREŚĆ: Tajemnica dźwięków muzycznych, pogadanka naukowa, przez M. J. Z. (z drzew.). — Dwa anioły, wiersz przez Seweryna Goszczyńskiego. — Prawdziwe bogactwo, przez autorkę Reginki (c. d.). — Na rozstajnej drodze! przez Z. Morawską. — Jeźdźcy w Tunisie (z drzew.). — Landgrafówna Zosia, powieść z czasów rycerskich p. M—a. (dokończenie.). — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Straszna przygoda Wąsatka i Pacioreczki (z drzew.). — Zaczarowane pola, z francuzkiego, przez Iskierkę z Konar. — Sprzeczką, wierszyk, przez M. Z. — Lew i ludzie, przez Azeta. — Co Zys i Janusia robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia, opowiedział Michał Krzemień (c. d.). — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów i ogłoszenie. Dodatek książkowy: Brat i siostra, powieść z niemieckiego.

Straszna przygoda Wąsatka i Pacioreczki.

Była sobie myszka, miała dużo dzieci, aż sześcioro, ale różne je spotykały nieszczęścia. Jedno porwała sowa o zmroku, drugie schrupał drapieżny kot czarny, a dwoje zginęło razem, zabiła je spadająca z wysoka kłoda drewniana, pozostało więc tylko dwoje przy życiu. Myszka ta mieszkała przez całe lato w stodole, miała tam dosyć żywności dla dziatwy i siebie, bo do stodoły zwożono rozmaite zboże.

Lecz przyszła jesień, zimno, myszka pomyślała sobie, że lepiej będzie przenieść się na jakieś wygodniejsze mieszkanie. Przywołała dzieci, aby im o tym oznajmić. Synek nazywał się Wąsatek, a córka Pacioreczka, bo miała śliczne oczki błyszczące, jak paciorki. Były to już myszki prawie doro-

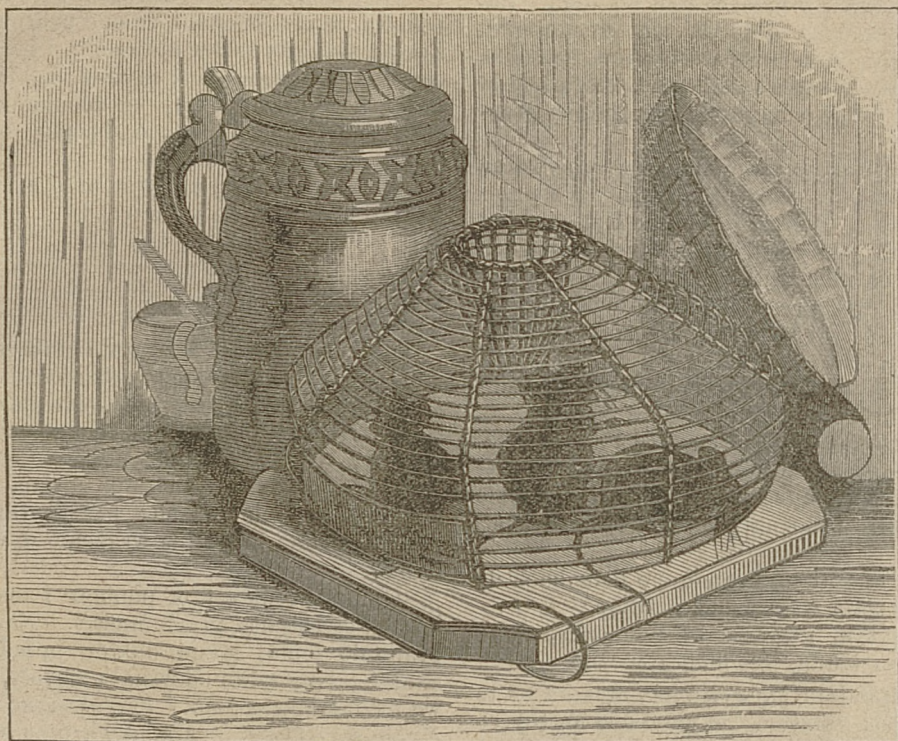
— To prawda, że tu strasznie nudno w tej stodole — odezwał się Wąsatek — ja już nieraz zamyślałem puścić się w świat, tylko mi żal było opuszczać mamusi.

— We dworze będziesz miał co widzieć — mówiła myszka mateczka — byleś był ostrożny. Otóż poto właśnie was przywołałam. Ja dobrze znam świat, mieszkałam już w różnych miejscach, mam dużo doświadczenia, słuchajcie tylko słów moich uważnie, nie zapominajcie o przestrożach, a wielu strasznych niebezpieczeństw potrafcie uniknąć.

— Mamusiu, ja się boję, nie idźmy chyba do tego dworu, jeżeli tam jakieś okropne są rzeczy — mówiła Pacioreczka, przytulając się do matki.

— Ach! co to za tchórz z tej Pacioreczki — wołał Wąsatek — a więc zostań ty sobie sama w stodole.

— Nie sprzecajcie się, dzieci, niema o co — rzekła matka



Straszna przygoda Wąsatka i Pacioreczki.

śle i dosyć roztropne, tylko niedoświadczone jeszcze, bo mało znały świata, siedząc ciągle w owej stodole.

— Moje dzieci — rzekła myszka mateczka — dziś przeniesiemy się na nowe mieszkanie do dworu.

— O, co za szczęście! — zawołała Pacioreczka i z wielką radością przewróciła koziółka. Wąsatek, nie taki żywy, jak siostrzyczka, kręcił tylko wąsikami i ogonkiem, jego także ta wiadomość bardzo ucieszyła.

— Nie wiem, dla czego to ma być znów tak wielkie szczęście — rzekła stara myszka — ja już mieszkałam we dworze zeszłej zimy, nic tam nadzwyczajnego niema, a pełno niebezpieczeństw. Dla tego też wyniosłam się do stodoły; niestety! i tu nie ustrzegłam się srogich nieszczęść... — i biedna mateczka otarła ogonkiem parę łez, bo przypomniła sobie utracone dzieci.

— Ej, co tam myśleć o niebezpieczeństwach, mamusiu — rzekła Pacioreczka — a raz przecież obaczmy coś nowego.

— do dworu przenieść się musimy, bo tu zginiemy z zimna i głodu. Gospodarz sprzedał wszystko zboże i jeszcze kazał powymiatć stodołę jaknajstaranniej, niewiedzieć poco, byle biedne myszy nie miały się czém pożywić. Oj, ci ludzie! to najstraszniejsi nasi wrogowie. Oni to trzymają i hodują koty, umyślnie po to tylko, ażeby nas dusiły, bo koty im zresztą na nic nie są potrzebne. Ale nie na tym koniec, ci niegodziwi ludzie obmyślają jeszcze różne sposoby, ażeby nas zabijać i tępić. Starsze myszy opowiadają o tym rzeczy przerażające. Nieraz naprzykład leży sobie gdzieś przepyszny kawałeczek słoninki, pachnący, smakowity, biedna myszka skrada się, zaczyna chciwie zajadać, aż tu, paf! dzieje się coś okropnego, słysząc trzask, łoskot niepojęty, jakaś krata zapada i myszka jest uwięziona.

— I cóż dalej, mamusiu? — pytała Pacioreczka całą drżąc.

— Co dalej -- powtórzyła stara myszka ze smutkiem —

przychodzą ludzie i bez litości mordują nieszczęśliwych jeńców. Otóż pamiętajcie o tém, moje dzieci, bądźcie ostrożne. Słoninka jest to rzecz dobra i zdrowa, możecie ją zjadać do woli, pamiętajcie tylko o tém, że to wszystko, co nam przychodzi bez żadnego trudu, rzadko kiedy prawdziwą korzyść przynosi, częściej daleko szkodę. Jeżeli wam się uda wleźć po długich mozołach do szafy spiżarnianej, lub wydrapać się po ścianie aż na półkę, gdzie chowają słoninkę, wtenczas spokojnie możecie się pożywić. Radzę wam jednak nie łakomić się na żaden przysmak, jeżeli będzie gdzieś leżał tuż pod nosem i obaczycie, że można się do niego dostać bez najmniejszej przeszkody i bez trudu. Uważajcie dobrze, czy niema tam jakiej zdrady.

— Już niech mateczka się nie boi, nie tak to łatwo mnie w pole wyprowadzić — odezwał się Wąsatek.

— Nie trzeba być zarozumiałym, mój synu, a na rady starszych zawsze pamiętać — rzekła matka.

— Ach, matuniu, nigdy jeszcze w życiu słoninki nie jadłam, a to musi być takie wyborne; tyle razy o tej słonince słyszałam od różnych myszek — mówiła Pacioreczka, oblizując się.

I przeniosły się myszki do dworu, znalazły sobie bardzo wygodne mieszkanie w spiżarni, w dziurce pod podłogą. Zaraz pierwszego dnia Pacioreczka dobrała się do słoninki, a napracowała się niemało, nim się po ścianie wgramoliła wysoko, nim potem wyszukała szparę w szafie, którą się do środka wcisnęła. Ale jak też jęj smakował upragniony przysmak!

Na drugi dzień oboje z Wąsatkiem pobiegli żwawo wzdłuż ściany i natrafili na jakieś drzwi otwarte, przeskoczyli przez próg i dostali się do pustego, dużego pokoju. Był to skład różnych gratów. A wtém posłyszeli głos mysi i obaczyli jakąś obcą myszkę, która na nich wołała:

— Chodźcie no, chodźcie, zapraszam was na ucztę. Jest tu ogromny kawał słoniny, a taki wyborny. Najemy się wszyscy, jeszcze i dla innych myszek zostanie.

Myszka, która to mówiła, siedziała sobie w maleńkim domeczku drucianym i zjadała słoninkę.

— Ale jakżeś ty się tam dostała? — spytała Pacioreczka.

— Nic łatwiejszego — odrzekła tamta — u góry jest wejście bardzo wygodne. Przecież choć raz ci niegodziwi ludzie nie schowali słoniny od nas i można się do niej dostać bez żadnego trudu.

Wąsatek natychmiast zaczął się drapać po drucikach do otworu, Pacioreczka go chciała wstrzymać, mówiąc:

— A pamiętasz, Wąsatku, co mówiła mateczka, że to wszystko, co przychodzi bez trudu, jest niebezpieczne.

— Cha cha cha! — zaśmiała się owa obca myszka — to wy jeszcze takie małe dzieci jesteście, że uważacie na to, co mówi mateczka? Boicie się nawet słoninki dotknąć bez pozwolenia?

Wąsatek zawstydzony i chcąc pokazać, że nie jest wcale małym dzieckiem, wskoczył żwawo do domku i zaczął ze smakiem zjadać słoninkę. Pacioreczka jeszcze się wahała, ale słoninka pachniała tak ślicznie... więc i ona poszła za przykładem braciszka.

Ach! nie potrzebujemy już nawet opowiadać, co się dalej stało, bo czytelnicy poznali ten domek na rysunku. Biedna myszka mateczka darmo dnia tego wyglądała powrotu Wąsatka i Pacioreczki. Nieroztropne myszki zginęły marnie, bo zapomniały o radach i naukach dobrej matki.

ZACZAROWANE POLA.

(Z FRANCUSKIEGO).

— O! Ludwiko, nie wracajmy jeszcze do domu, tak tu ładnie? — mówiła Zosia do służącej.

— Nie, Zosiu, spóźniłybyśmy się na obiad!

— Tylko powiedz mi jeszcze, Ludwiko, dla czego nazywają te pola zaczarowane?

— Moja Zosiu, nie powinienem ci tego mówić, chyba jeśli mi przyrzeczesz, że nikomu o tém nie powiesz, bo...

— Przyrzekam, przyrzekam — zawołała Zosia — tylko mów, moja złota!

— Otóż widzisz, te pola się nazywają zaczarowanymi dla tego, że na nich rosną zioła, które uzdrawiają ludzi chorych; ale mają tę własność tylko wówczas, gdy są zerwane o północy, a o tej godzinie bronią ich różne strachy.

Zosia nic nie odpowiedziała, i szła zamyślona aż do domu. Gdy weszły, dowiedziały się, że Mama Zosi nagle niebezpiecznie zachorowała i że doktor bardzo jest niespokojny o nią. Zosia wtedy natychmiast pomyślała o zaczarowanych polach i choć się bardzo strachów bała, postanowiła dla miłości Mamy iść w nocy po zioła zaczarowane. Otóż gdy ją o wpół do dziewiątej Ludwika rozebrała i położyła do łóżka, Zosia, choć bardzo zmęczona, nie usnęła i wciąż myślała o chorąg Mamie i o zaczarowanych polach, czekała aż wszyscy usną.

Wstała cichutko po nocy, włożyła pończoszki, buciki i sukienkę i wyszła z domu. Cicho było i głucho, jak na puszczy, tylko gwiazdy błyszczały na niebie i księżyc oświecał dziewczynkę swém bladym światłem. Zosia była bardzo przestraszona, ale mężnie szła ku zaczarowanym polom.

Gdy przybyła na miejsce, zaczęła śpiesznie rwać ziółka i trawy, w przekonaniu, że one uzdrowią chorą matkę. Wtém Zosia usłyszała szmer złowrogi, i jakby głosy jakieś tajemnicze. Byli to robotnicy, którzy zapóźniwszy się, przechodzili przez krzaki niedalekie; ale biedne dziecko, wystraszone nierozważnym opowiadaniem służącej o strachach, jak martwe padło na ziemię zemdlone.

We dworze wszyscy byli przerażeni, biegano, wołano na wszystkie strony, bo rano o szóstej, gdy Ludwika wstała, zbliżyła się do łóżka Zosi, aby zobaczyć, czy śpi jeszcze, krzyknęła strasznie, widząc, że łóżeczko próżne. Na ten krzyk służba cała się zbiegła do pokoju, nadbiegł i ojciec dziewczynki.

— Gdzie Zosia? — spytał służącej.

— Och! proszę pana, gdzie znikła!

— Odpowiadaj, czy nie wiesz, gdzie jest?

— Niestety, nie mam o tém pojęcia — odpowiedziała przerażona Ludwika. Wtém uderzyło ją jakby przecucie prawdy i zawołała. — Ach! opowiedziałam jęj wczoraj właśnie o zaczarowanych polach; pewno tam Zosia chciała zerwać ziół dla mamy, bo silne wrażenie wywarło na nią to opowiadanie.

Ojciec prędko tam pobiegł i znalazł rzeczywiście Zosię, leżącą jeszcze bez przytomności. Zaraz ją podniesiono i zabrano do domu, gdzie doktor ją ledwo do życia przywrócić zdołał. Gdy tylko odzyskała zmysły, poprosiła o zioła i trawy nazbierane w polu. Przyniesiono je zaraz, bo nie chciano jęj się sprzeciwiać. Mama wkrótce wyzdrowiała, lecz Zosia długo jeszcze chorowała, i dopiero gdy nareszcie także szczęśliwie choroba jęj minęła, wytłómaczono dziewczynce, że to nie gusła żadne, lecz łaska Boska ludziom zdrowie i życie daje.

Teraz Zosia jest już dorosłą i nie wierzy w czary, ale zawsze tak kocha mamę, jak wtenczas, gdy była młodą dziewczynką.

Iskierka z Konar.

SPRZECZKA.

Jedna na drugiej zblizka, jakby siostry wsparte, Posprzeczały się książki, które więcej warte?

— Ja uczyć filozofii! — rzecze jedna z pychą.

— Ja historyi! — odpowie poważnie, choć cicho, A na to jeszcze oiszej szepnie trzecia mała, Co w kąciку rzucona na poły leżała:

— Ja jestem abecadło, pomyślcie też sobie, Na co byście bezemnie zdali się wy obie?...

M. Z.

LEW I LUDZIE.

Spoczął lew w pustyni po codziennym trudzie, Wtém poczuł, że z bronią skradają się ludzie, Więc ryknie: — Człowieku, czego chcesz odemnie? Ja, gdy głód nasycę, nie niszczę daremnie, Dla czegoż ty nawet, gdyś jest syty strawy, Jeszcześ rad zniszczenie szerzyć dla zabawy? Poskrom dziką żądzę, bo ci mówię szczerze, Że cię ona stawia niżej, niż jest zwierzę!

Azet.

CO ZYŚ I JANUSIA

robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia.

Opowiedział **Michał Krzemień.**

(Dalszy ciąg).

Daléj jechały dzieci koło gmachu Towarzystwa Dobroczynności, gdzie też jest mały kościółek a raczéj kaplica. Potém, ciągle jadąc prosto Krakowskie Przedmieście, zobaczyły dzieci na lewo piękny skwer, czyli ogródek miejski, na środku placu urządzony, a potém znowu kościół, przez dawnych Karmelitów bosych wzniesiony niegdyś z kwesty i darów panów bogatych. Tu w r. 1705 Karol XII król szwedzki i Leszczyński, przez niego na tron polski orężem prowadzony, podpisali z sobą umowę i wieczną sobie przyrzekli przyjaźń w obliczu Boga. Wtém gdy Ciocia w najlepsze dzieciom o tych Karmelitach z cicha opowiada, spojrzy Janusia w prawo naprzeciw tego kościoła po przeciwnéj stronie ulicy i jakże nie krzyknie przerażona:

— Lot! ciociu, Lot tam mieszka i wielkimi literami nazwisko sobie nad drzwiami wymalował! O, Ciociu, czy to potomek tego Lota, co to jego żona w słup soli zamieniła się za karę ciekawości?

Ale Ciocia objaśniła tylko, że Lot, mieszkający naprzeciw Karmelitów na Krakowskie-Przedmieściu, ma od bardzo dawna sklep z kapelusami damskimi i nic więcéj nie wiedziała o nim Ciocia. A tramway wciąż jechał daléj a daléj wśród dwóch rzędów wielkich kamienic ze sklepami, aż na lewo ujrzeli przed jednym gmachem u krat dziedzińca ogromne lwy kamienne, pilnujące wejścia i Ciocia zaraz powiedziała, że to jest pałac dawniej Radziwiłłowski, a późniéj księcia namiestnika, a lwy u dziedzińca robił Landini. Daléj na lewo znowu był kościół i Ciocia opowiedziała o nim, że to jest dawny kościół zakonnic Wizytek, które Marya Gonzaga, żona króla Władysława IV, sprowadziła do Polski i dla nich wzniosła ten kościół. I znów trochę daléj jadąc był po prawéj stronie kościół Świętokrzyski, na który pierwszy kamień węgielny położył królewicz Jakób r. 1682, ale już przedtém stał tam pod tém samém wezwaniem kościółek drewniany i szpital dla sześciu ubogich. Jadąc dzieci same poznały na lewo wielki pałac, w którym już dawniej widziały różne zwierzęta w gabinecie zoologicznym.

— Widziałyście wypchane, a teraz jedzicie zobaczyć żywe — powiedziała Ciocia.

— Co? to my może do ogrodu zoologicznego jedziemy? — krzyknęły dzieci i tak zapomniawszy się skakać zaczęły w tramwayu, że Ciocia przymuszona była objąć każde ręką w pas i tak je trzymać przytulone obu rękami, a one nogami jeszcze ruszały, nie mogąc ani raz uspokoić się z wielkiéj radości.

Nie też już nawet uważać nie mogły, gdy im Ciocia pokazywała dom Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zbudowany przez acnego Staszica, ministra stanu, a który to dom oddziela Krakowskie-Przedmieście od Nowego-Światu. Odtąd już daléj Nowym-Światem jechali długo, wśród dwóch szeregów wiel-

kich domów zawsze, aż wyjechali na duży okrągły plac, gdzie w pośrodku stoi kościół Św. Aleksandra, zbudowany zamiast bramy tryumfalnéj na pamiątkę pierwszego wjazdu cesarza Aleksandra I-go do Warszawy. Ale dzieci nic nie słyszały z tego, co Ciocia mówiła, bo już myślały tylko o tych osobliwych zwierzętach, które za chwilę obaczyć miały. Nie widziały nic a nic, ani nawet długich pięknych alei, przez które przejeżdżały, aż tramway stanął, wszyscy wysiedli i Janusia zawołała nagle:

— Ale jakże my pójdziemy do ogrodu, do zwierząt, kiedy to teraz zima?

— To co, że zima? ha ha ha! Ciociu! ta Janusia myśli, że zwierzęta na zimę do Włoch wyjeżdżają! ha ha ha!

— No, mój Zysiu, a ty jak myślisz: co też naprzykład robią w naszym klimacie, tak zwanym umiarkowanym, który jednakże bywa zimnym, takie zwierzęta, jak np. wielbłąd, lew, słoń i inne, które pochodzą jak wiesz z gorącego klimatu i koniecznie ciepła i to znacznego, do życia potrzebują? *Koniecznie*, rozumiesz?

— Albo ja wiem, moja Ciociu... — szepnął Zys zakłopotany po głębokim namyśle, tracąc się czapką po czuprynie, tak, jak to ojciec w chwilach kłopotliwych zwykł robić.

— Że nie wiesz, na to się zgadzam i nie mam ci tego wcale za złe — rzekła Ciocia — bo nikt nie jest obowiązany wiedzieć o wszystkiém, a najmniéj co do tego obowiązane są dzieci; ale dla tego też właśnie bardzo mi się nie podoba, gdy kto naśmiewa się z drugiego, tak, jak ty dopióro śmiałeś się z Janusi, bo takie naśmiewanie się, czyli tak zwane szyderstwo, dowodzi ni mniej ni więcéj, tylko braku rozumu u tego, kto się z innych naśmiewa, a sam taki jest bardzo niemądry i nawet nie wie, że nikt na świecie nie może wiedzieć wszystkiego... Dla téj to właśnie przyczyny, ludzie istotnie uczeni i pracowici, i naprawdę rozumni, są najskromniejsi, nigdy z nikogo się nie naśmiewają i sami nie wiele mówią, wiedząc doskonale, że jak śmiech ciągle jest znamię głupoty, tak i zbyt duża gadatliwość dowodzi tylko płytkości umysłu, boć każdy wie, że nikomu nie jest łatwiej gadać bez końca, gdy się raz nauczy, jak sroce i papudze... a to są przecież ptaki, pozbawione rozumu, a przeto gadające bezmyślnie wcale.

Zys się zarumienił mocno przy tych słowach Cioci i zamilkł, nie wiedząc co rzec ze wstydu, a widząc i czując różnicę jak i on ich sens ukryty, Janusia pożałowała braciszka i rzekła, chcąc go z przykrego położenia wyratować:

— Ale cóż też naprawdę, Ciociuniu, robią w naszym klimacie w zimie takie zwierzęta, które z ciepłych krajów pochodzą i w zimnym żyć nie mogą?

— Co one robią, moje dzieci — rzecze Ciocia, wdychając troszkę — to zaraz zobaczymy, bo po to właśnie do owego ogrodu idziemy, a ja wam tylko to mogę powiedzieć, że cokolwiek one robią i jakkolwiek ludzie pielęgnujący je starają się o ich dobrobyt i zadowolenie, przecież zdarza się bardzo często, że wytrzymać téj różnicy klimatycznój nie mogą i giną. Wtedy zwykle zabiera je najbliższy gabinet zoologiczny, ażeby po stosowném przyrządzeniu i wyprawieniu skóry wypchać ją porządnie, powprawiać do niej szklane oczy, podobne do tych, jakie miały te zwierzęta za życia, i poprawiwszy tu i owdzie sztucznymi sposobami barwy wypędlone podczas całej téj roboty, powiększyć niemi swe zbiory. Takie są najczęściej losy zwierząt po zoologicznych ogrodach.

— E... kiedy tak, toż mi ich żal bardzo, nie będę mogła na nie patrzeć — rzekła Janusia smutno.

— Co — powie Ciocia — żal ci będzie strasznych jaguarów, krwiożerczych lampartów? hyeny okrutnéj, albo i okropnéj, czarnej jak smok pantery?

— Ech, to co innego, mniejsza tam o takie potwory, takich ja nie żałuję, bo i one nie żałują ani człowieka, ani niewinnego zwierzątka, gdy je rozdzierają lub duszą, ale czyliż wszystkie te okropności są tam w ogrodzie?...

— Ale przecież są w klatkach z mocnych prętów żelaznych! — zawołał Zys.

— A... prawda, zapomniałam, a przecież już Ciocia mówiła i o klatkach...

— Tak, są w klatkach — rzecze Ciocia — i ludzie, którzy nad zwierzętami czuwają, umieją sobie z nimi radzić, i zabezpieczyć od nich ludzi, zwiedzających ogród, jednakże, jeżeli byście zamiast przyjemności mieli doznać choć najmniejszej trwogi, to lepiej tam nie idźmy: za chwilę nadejdzie tu znowu tramway, wsiądziemy i odwiezie was do Babci, a sama natychmiast tu powróce, bo chcę zobaczyć zwierzęta, to jest rzecz zabawna i pouczająca.

— Co? — krzyknie Zys — Ciocia miałaby sama bezemnie na niebezpieczeństwo się narażać? to ja tak nie chcę! jak ja z Ciocią pójdę, to przynajmniej w razie wypadku będę bronić Ciocię laską!

— Mówię ci, że niema żadnego niebezpieczeństwa!

— Mniejsza o to — rzekła Janusia, a oczki zwilgotniały jej nagle — jak jest tak jest, ale Cioci samęj do hyeny nie puścimy!

Tak postanowiwszy, dzieci mocno ujęły Ciocię za każdą rękę i wszyscy weszli odważnie. Ale ledwo weszli, zaraz zapomnieli o poprzedniej rozmowie na widok mnóstwa najzabawniejszych i zajmujących stworzeń. Dopiero też wtedy zrozumiwały dzieci, jak stworzenia z ciepłych krajów mogą w zimnym wytrzymać: oto, mają one najrozmaitsze, nietylko klatki ale i domki i całe sale ciepło ogrzane, wedle tego, jak ich natura wymaga. Obaczyły tedy dzieci mądrego, ogromnego, silnego niezmiernie, ale bardzo łagodnego i grzecznego słonia, bo takimi zwykle bywają dobre i roztropne istoty. Wilki tutejsze pospolite, dwa stare a cztery młode, niby to do tegich psów podobne, ale o takiem dzikiem spojrzeniu, że wcale nie bierze ochota głaskać ich, jak to każdy robi z psami. Była też hyena ta okrutna, o niemiłym wyrazie całej fizjonomii, jak zauważyła Janusia.

(d. c. n.)

ZAGADKA (Z. M.)

Był ciemny, poki czcił tylko bałwany,
Lecz kiedy przyjął chrzest święty i wiarę
Ujrzał strop nieba gwiazdami usiany,
I poznał prawdę, zgniótł bożyszcza stare.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Łamigłównki w kwadraciku:

S	A	N
A	G	A
N	A	D

Skrzynka do listów.

Bławatka z nad Horynia ucieszyła nas bardzo miłym swoim liścikiem, bo tak dawno nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości. Wielka to szkoda, że nas ominęła sposobność uściskania kochanej Bławatki, ale co się odwlecze, to nie uciecze, jeszcze zapewne doczekamy się tej przyjemności. Tymczasem dolożymy wszelkich starań, aby „Wieczory” były naprawdę coraz ładniejsze i zawsze kochanych czytelników zajmowały. Mamie za uprzejme wyrazy zasyłamy podziękowanie.

Konwalią z Siedlec najchętniej zaliczamy do grona stałych korespondentek naszych. Liścik taką śliczną kaligrafią napisany, że radzibyśmy jaknajczęściej podobne odbierać. W naszych czasach młodzież lekceważy kaligrafią, a to niedobrze; powiadają wprawdzie, że wielcy ludzie zwykle brzydko pisali, z pewnością jednak nie dlatego byli wielkimi. Kto zaś za młodu nawyknie pisać po-

rzadnie i starannie, zachowa ten zwyczaj i na później, a z pewnością niejedną ztąd korzyść odniesie.

Zuzulka z nad Tykicza i Pośmieciszka, czy nie pogniewały się czasem na redakcyą? Dawniej miłe te ptaszęta tak często się odzywały, tyle ładnych przesyłały łamigłówek, a teraz ucichły, odgłos wesołego ich świągotu nie dochodzi do nas wcale. Nie sądziemy, aby odleciały do zamorskich krajów wraz z inną rzeszą skrzydlatą, bo mają ciepłe gniazdko i na zimę nad Tykiczem. A jest w tém samém gniazdku i Kruszyńska, i ta nie daje znać o sobie. Niechże kochane ptaszyny wiedzą przynajmniej, żeśmy o nich nie zapomnieli i prosimy bardzo, aby nam prędko przesłały o sobie wiadomość przez jakiego gołąbka pocztowego.

Sokół z pod Wawelu wybrał sobie bardzo piękny pseudonym, a wszystko to, co donosi o swoich naukach, pozwala wnosić, że to ptak roztropny i pracowity, z przyjemnością też zaliczamy go do grona stałych korespondentów. Dziękujemy za wiadomość o Bohdusiu i Ninie, sądziliśmy, że już zupełnie o nas zapomnieli, bo od niepamiętnych czasów ani słówkiem się nie odzywają. Bohdusiowi zapewne nauki szkolne stoją na przeszkodzie, ale siostrzyczka mogłaby znaleźć choć chwileczkę czasu. Sokół, który tak lubi opisy podróży, zapewne z przyjemnością czytać będzie „Przygody po morzu i lądzie, czyli Ziemia Ognista”. Ostatni ten utwór Mayne-Reida, zacznie się drukować od Nowego Roku w naszym Piśmie.

Tygrys przeraził nas w pierwszej chwili swoim pseudonymem, po odczytaniu Mściku przekonał się jednak, że nie musi być z rodu tygrysów drapieżnych. Ale jest widocznie troszeczkę roztrzepany, bo wypisał jaknajdokładniej swój adres, nazwę ulicy, N-r domu, zapomniał tylko dodać w jakim mieście przebywa? Nie zrozumieliśmy pytania: „czy można nadsyłać zadania konkursowe bez nagród?” My dajemy nagrody za najlepsze rozwiązania naszych zadań, czytelnicy zaś nie nadsyłają zazwyczaj zadań, tylko rozwiązania. Łamigłównkę wydrukujemy.

Srebrna Brzózka i Sosna Poleska nadesłały parę łamigłówek, które jednak nie zupełnie są dobre. Niteczka Aryadny powinna się rozwijać na kwadratowej przestrzeni, a w gwiazdce należałoby dobrać wyrazy, mające jakieś znaczenie i związek pomiędzy sobą; najlepiej wybierać nazwy geograficzne, historyczne, zoologiczne i t. p. Trudniej to jest załatwić, ale też taka łamigłównka ma przynajmniej jakąś wartość. Powieść „Brat i siostra” jest w rzeczy samej znacznie zmieniona i przerobiona, dla tego też nie wymieniliśmy autora.

Pani J. Nowakowskiej w Juszkowie. „Lectures illustrées”, czy na rok bieżący, czy przyszły, kosztują 2 rs. 80 kop. brakuje więc do prenumeraty tego Pisma 80 kop.

Annie S. w Woli Prażmowskiej. Powieść „Brat i siostra” rozpoczyna się w N-rze 36. Możemy więc przesłać 4 brakujące N-ra, za co z przesyłką pocztową należy się nam będzie 50 kopiejek.

Kronika Rodzinna.

Pod tymże samym adresem i po tejże cenie co **Wieczory** pismo dla rodzin, poświęcone literaturze, naukom i sprawom społecznym, które oprócz odpowiednich do tego założenia artykułów, zamieszcza niewydane dotąd pamiętniki i korespondencje znakomitych ludzi, oryginalne podróże, powieści, komedye do przedstawienia w teatrach amatorskich, wiadomości polityczne i sprawy bieżące. Prenumeratorzy **Kroniki** otrzymać mogą po cenie zniżonej różne wartościowe dzieła i oleodruki wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, od roku zaś przyszłego 1886 otrzymywać będą w dodatku bezpłatnym wydawane nakładem redakcyi ciekawe **PAMIĘTNIKI MARYI WESSLÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIE-SKIEJ**, spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.